NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

# ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

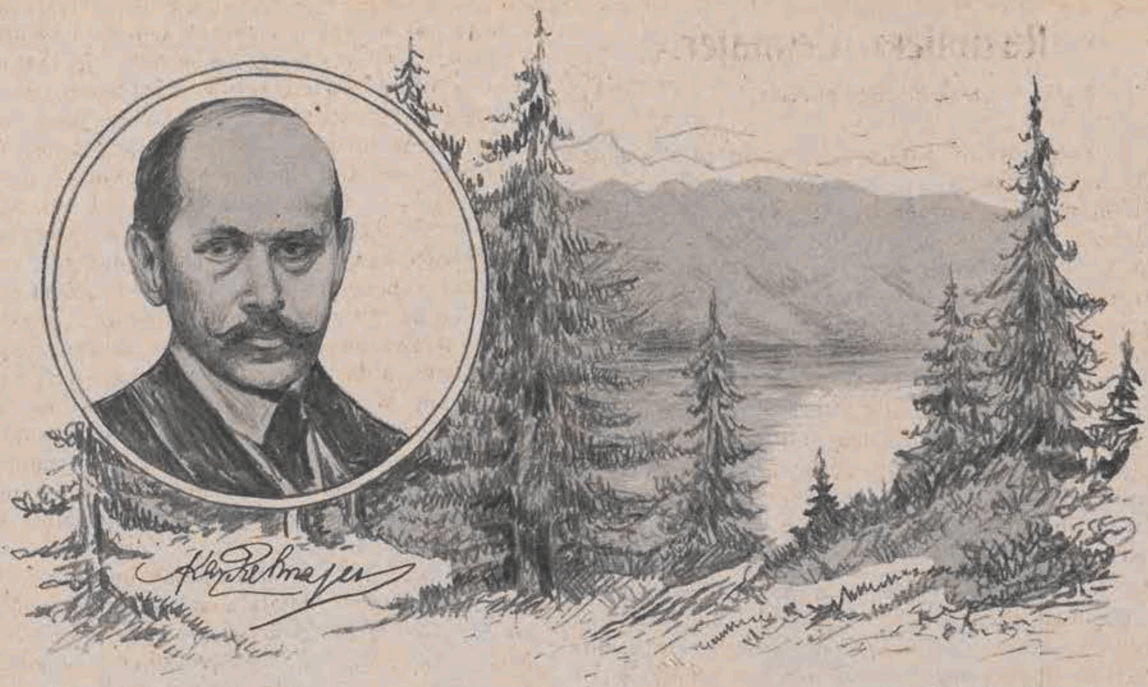
REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA № 5
TEL. № 226-83.

№ 15

WARSZAWA
DNIA 31 MARCA 1912 R.



Aleksander Augustynowicz. (Sal. art. Richlinga) Dziewczyna z tobołem.



Rysował Jan Warunkiewicz.

## POZDROWIENIE.

*Z ponad wiślanych leci fal*
*wiosenny, chłodny wiatr,*
*leci ku mojej ziemi w dal,*
*ku śnieżnym szczytom Tatr.*

*Wichrze! Nad wzgórza, pola nieś*
*me pozdrowienie stąd,*
*rodzinną moją pozdrów wieś*
*i dunajcowy prąd!*

*Przydrożne wierzby, smreków las,*
*w ogródkach każdy kwiat,*
*i wszystkie łąki pozdrów wraz*
*i ludzi z wszystkich chat!*

*I do tych śnieżnych skał się zwróć,*
*ku stawom, chatom gnaj —*
*i pozdrów mi po tysiąckroć*
*mój cały górski kraj!*

## NA SAMOTNEJ DRODZE.

*Na mej duszy strunach dłonie*
*ty, o wichrze, złóż:*
*graj, co marzą jezior tonie,*
*co śnią światła zórz...*

*Graj, co szumią tam z przełęczy,*
*senne limby te...*
*Graj, co marzy koło tęczy*
*w otchłani na mgle...*

*Co najskrytsze, co najcichsze,*
*co stracono gdzieś,*
*co najdalsze: ty, o wichrze,*
*do mej duszy nieś...*

## D U C H.

*Zda mi się czasem w noc,*
*że duch mój idzie przez miasta i sioła*
*z płomiennym mieczem nicestwień anioła,*
*każdy krok jego jest jako chód burz,*
*obala gmachy i pałace w kurz,*
*wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,*
*i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.*

*Ludzkość mu cała klnie,*
*przekleństwa ciska mu na głowę hardą,*
*a on jej zimną odpowiada wzgardą,*
*i dumny, wyższy nad ten cały tłum,*
*idzie, jak wichrów i pożarów szum,*
*wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,*
*i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.*

*Ze snu otrząsam się*
*i ducha tego o oczach szatańskich*
*chcę spętać, przykuć do turni tatrzańskich,*
*lecz on, drwiąc, ręce me odpycha precz,*
*i swój płomienny w górę wznosząc miecz,*
*wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,*
*i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.*

*I uledz muszę mu,*
*a on zapala gwiazdę na swej głowie*
*i pokazuje mi ziemskie pustkowie,*
*gdzie zniszczył wszystko: i dobro, i zło —*
*i miecz odrzuca złoty ogniów rdzą,*
*i utrudzony po unicestwieniu,*
*spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.*

***Kazimierz Tetmajer.***

# Kazimierz Tetmajer.

(25-lecie pracy pisarskiej.)

Pozytywizm nanizał na harfę polską nową strunę. Zdawało się bowiem, że po pieśniach Mickiewicza, Słowackiego i Norwida nikt nie odważy się wyjść poza ramy ich widzeń poetyckich. Wszystko przecież wyśpiewał duszom naszym romantyzm. Dał poszum skrzydeł pancernych i rzucił na serca taki czar współczucia, że nie ufano nawet w możność czegokolwiek innego, aż do tych przynajmniej czasów..., kiedy się skończy gniew Pański. Jest romantyzm nasz cały tęsknotą za utraconą Jeruzalem; jest najgłębszym krzykiem bólu po tryumfach nocy listopadowej; jest pieśnią — marzeniem o Konradzie, która do dziś dnia gra nam w sercach, jak pobudka.

Jeszcze Szczepanowski nie chciał widzieć nic ponad romantyzm. Jego kult „bohaterstwa" wzywał tak bezwzględnie do powrotu w krainę Mickiewiczowskich marzeń, że należałoby właściwie wykreślić pracę dwuch pokoleń, zamknąć oczy na wartki prąd życia i skłonić kornie głowę przed duchem czystym, jak łza, lecz jak i łza zbolałym. Kulty jednak zajmują w duszach naszych jedną część, a druga, chcąc nie chcąc, podlega naciskowi z zewnątrz i musi gotować mur obronny, jeżeli nie chce podledz zagładzie. Sam Szczepanowski rozpływając się w marzeniu o ideale bohaterstwa, skrupulatnie myślał nad „nędzą galicyjską". Inni zaś mniej bohaterscy, za to więcej realni, więcej bezpośrednio zrośnięci z chwilą dziejową przypatrywać się jęli tej nędzy z całą bezwzględnością, z całem poświęceniem. Poezja Asnyka wyrosła z takiej właśnie walki. Umiał on obronić się przeciw uroszczeniom wszechwładnej przeszłości i sięgnąć w przyszłość. Przywrócił też zapomniany dawno czar rozumowi ludzkiemu. Nauczył nanowo wierzyć „w szkiełko i oko". Bo przecież od czasów porozbiorowych zapomnieliśmy o naszych tradycjach w kulturze. Poniechaliśmy lirę Reya, Kochanowskiego, poniechaliśmy racjonalistyczny mózg naszych polityków, uczonych i kaznodziejów. I tylko jedna literatura polska w całym dorobku ludzkości poszczycić się może swoją dosadną realnością, swoim praktycznym zmysłem dla życia. Nawet nasi mistycy są tacy realni w swoich nierealnych wizjach, że dziwić się należy, że właśnie takim, a nie innym operują materjałem.

I dopiero klęski dziejowe przewróciły kartę w księdze naszego ducha. Zerwano nietylko powrósła naszego bytu politycznego. Kulturalnie wykolejono bieg rozwoju; w ogólnej zawierusze zaczęto więcej ufać szczęśliwemu przypadkowi, niż rozmyślać poważnie nad naprawą rzeczypospolitej. Dopokąd tylko był cień chociażby państwowości, cień łączący pokolenia z dawnym bytem—odzywały się głosy Kołłątaja, Czackiego, Potockiego. Później wzniosła się fala i opadła, bo nie starczyło w sercach płomieni. Gorzał za naród cały Mickiewicz, ale pieśń jego radując i kojąc serca, jątrzyła nieraz mózgi. Powstawali stronnicy Czartoryskiego, oburzali się czerwoni. Nawet wśród towiańczyków miał opozycję. Był i będzie drogi każdemu polakowi, jako serce, ale przecież narody nietylko sercem żyją. Wracać będą do niego pokolenia po wiarę, bo nikt nie kochał i nie wierzył w naród tak mocno i zuchwale, jak Mickiewicz, ale do programów jego społecznych, do jego intelektualnych i naukowych koncepcji powrotu niema. Życie zdobywa coraz to nowe sfery ulepszeń praktycznych, wytwarza coraz to nowe techniczne udoskonalenia, a to przecież pociąga za sobą i udoskonalenia w sposobie widzenia polityki, ideowości i moralności. Pozytywizm warszawski był protestem przeciw hegiemonji romantyzmu nad życiem. Sprowadzał z obłoków na ten polski padół płaczu i wierzył gorąco w skuteczność swoich rad i środków.

Poeta, o którym dziś mówić będziemy, z racji jego 25-letniej działalności na niwie piśmienniczej, należał do pokolenia, które zwątpiło już w pozytywizm. Z romantyzmem pozostawał w zgodzie o ile chodzi o wymagania serca, co więcej kochał go jako bajeczną przeszłość, lecz nie mógł się zgodzić na filozofję Cieszkowskich. Pozytywizm nie dawał też żadnych gwarancji dla krytycznego umysłu i kipiącej nadmiarem temperamentu i młodości duszy. I dlatego rozpoczyna swoją twórczość Tetmajer wyraźnemi linjami pesymizmu. Jeszcze w pierwocinach swoich łudził siebie hasłami, lecz oskard czasu zniweczył je wszystkie. Pozostał smutek, co zwątpił we wszystkie programy. Równorzędnie zaś rozwinął się w twórczości Tetmajera hołd dla Erosa i właściwie wydawać mogłoby się dziwnem, skąd bierze się smutek w piersi Tetmajera, skoro umie tak gorąco, tak życiowo opiewać czar młodych, greckich ciał. W każdym razie kult Erosa przez pewien okres dominował zupełnie nad lirą Tetmajera. I nie był to kult dekadentów, schorzałych djabolistów, lecz rzeźki, młody krzyk swawolnego ciała. Odnajdywał w nim zachwyty na miarę panteistycznych uniesień, przekuwał każdy dreszcz na regułę swojej artystycznej religji. Skąd się brał smutek w tej djonizejskiej pieśni — niech odszukają przyczynę psychologowie, którzy lubują się w monistycznych syntezach. Niech wyjaśniają te dwa rozliczne tony jego liryki—przez otoczenie, przez wpływy, przez co tylko chcą, dla mnie jest to rzeczą obojętną. Żywy Tetmajer, człowiek o sprzecznych nastrojach, poeta pokolenia, co zawisło między snem romantyzmu a niewiarą w pozytywizm — jest nam dokumentem swojego czasu i jako takiego musimy czcić, gdyż zamyka w twórczości swojej jedno z ogniw w ogólnym łańcuchu rozwojowym ducha polskiego.

Urodził się Tetmajer w roku 1865 w Ludźmierzu, w powiecie nowotarskim, gdzie ojciec jego był marszałkiem i posłem na sejm. Studja gimnazjalne i uniwersyteckie odbył w Krakowie. Przez pewien czas zajmował się dziennikarstwem. Jeździł dużo po świecie i przyglądał się życiu kulturalnych narodów. Zużytkował to później w swoich powieściach i poezjach. Pierwszą

pracę wydał w roku 1886 (Illa, poemat prozą). Później, niemal co rok, rzucał na półki księgarskie to poezje, to powieść, to nowele lub studja sceniczne. Wiele artykułów spoczywa w plikach roczników różnych czasopism. Niektóre, jak naprzykład studjum o Böcklinie należy do chef-d'oevre'ów swojego rodzaju. (Tyg. Ilustrowany r. 1899.) W ostatnich czasach Tetmajer puszcza w świat dużo powieści. Twórczość poetycka coraz rzadziej wypowiada się w mowie wiązanej, ale za to daje Tetmajer obrazy świeże i kolorowe w swoich utworach prozą, wypowiada całą zawartość swojej duszy poprzez usta bohaterów, których stworzył już pokaźną galerję. Być może, że nie wszystkie utwory prozą Tetmajera stoją na tej wyżynie artystycznej, do której nas przyzwyczaił swoimi wierszami. Dla mnie jednak takie perły, jak zbiorek w „Małym domu", lub cykl nowel tatrzańskich, należą do rzędu tych skarbów, które przejdą do skarbca ogólno kulturalnego naszego dorobku. Po przez stronice bowiem tych utworów wyziera taka miłość dla ludu, że już chociażby za tę miłość należy wyróżnić je z całego potopu różnych ludowych nowel, szkiców i powieści.

Tetmajer jest jedną z bardzo żywych organizacji pisarskich współczesnych. Umiał on jeden z pierwszych zaśpiewać pean chwały Wyspiańskiemu, umiał i Maeterlinckowi oddać należny hołd; wogóle nie stronił od „samotnej świątnicy" i od gwaru życia a o ile uważał za potrzebne zawsze głośno wypowiedział swoje zdanie. Gdy modernizm zwycięsko i patetycznie szturmował do twierdz naszej literatury, Tetmajer odnalazł ziarna i oddzielił je od plew. Jako jednak syn wsi zawsze sympatyzował z ludem. Nie było to chłopomaństwo, które jaskrawo rozpierało się w Krakowie przed laty piętnastu, lecz trzeźwe przeświadczenie o dziejowem posłannictwie ludu polskiego. I dziś nawet należy przedewszystkiem wyróżnić tę cechę ukochań Tetmajera. Z dawnego smutku pozostały echa, już i Eros przestał święcić swoje greckie saturnalje, tylko dawne słabe nuty sympatji dla ludu coraz więcej olbrzymieją. I czy to będzie Janosik Nędza Litmanowski, czy też chłopstwo z okolic pana Opolskiego — Tetmajer wyposaży ich w taką bujną życiowość, że stają się sympatyczni, choć i barw ciemnych nieraz im nie skąpi. Rewolucja też znalazła w Tetmajerze śpiewaka. Możliwe, że jego dramat nie jest zbudowany na zrozumieniu naszych stosunków „królewiackich", temniemniej jednak posiada sceny o bardzo wielkiem napięciu. Tetmajer jest zdecydowanym przeciwnikiem socjalizmu, choć również nie znosi i arystokracji. Nie sympatyzuje też Tetmajer z separatyzmem żydowskim. Jest mu obojętne pod jaką etykietą ten separatyzm chce się wśród naszego ogółu przemycać. Czujnie strzeże i pilnuje przed zakusami sjonizmów oraz innych doktryn, które pod płaszczykiem humanitaryzmu chcą ukryć istotny sens różnych antinarodowych enuncjacji. Ale za to niech się spotka z jakimś chłopem, zaraz odnajdzie w nim piastowską powagę. Czuje się odrazu, gdzie kryją się sympatje Tetmajera. I jest to o tyle sympatyczniejsze od różnych „przysięgłych" ludowości, że nie idealizuje brudu i ciemnoty tej masy. Widzi wszystkie usterki, a jednakże kocha i woła o podniesienie materjalne i moralne dla nich.

Jako artysta słowa, Tetmajer jest oddawna ogólnie znany. Posiada on niezwykłą łatwość pisarską; nigdy nie użyje przenośni, któraby mogła urazić oko lub ucho; nigdy nie zastosuje takich form wypowiedzenia, które rażą brakiem plastyki. Czuje też on przyrodę, jak człowiek, który wśród niej tylko przepędził życie. Mówi ona do niego, jak piastunka, pieści go, jak kochanka, strofuje jak matka.

Tetmajer choć już pracuje 25 lat na niwie pisarskiej, nie wypowiedział swojego ostatniego słowa. Należy on do rzędu tych rzadkich pisarzy, którzy stale rozwijają zakres swoich artystycznych możliwości. Napewno przyszłość przyniesie nam jeszcze niejedną książkę, ktora zaważy na szalach kształtowania się opinji. Kto bowiem odbył tak dużą drogę ewolucji i zawsze wszystko przyjmował z wrażliwością młodzieńca, nie wyczerpie się rychło. Od kultu Erosa i od smętku po-pozywistycznego — odbyć drogę aż do „Małego domu", poprzez skalne podhale — toż to taki szlak, na którym może nie jeden by zbłądził. Tetmajer idzie jednak i śmiało toruje sobie drogę. Dziś przewidzieć nie można jakie będą przyszłe losy jego talentu. Jest jednak niewątpliwe, że bez względu na wartość ideową dadzą nie jedną godzinę rozkoszy czytelnikowi, bo wyrósł w ukochaniu mowy ojczystej. Przezroczysta jego polszczyzna jest poprostu rzadkością wobec różnych powieścideł, które stale od jakiegoś czasu zapełniają odcinki różnych czasopism. Odziedziczył on tę mowę po swoich pradziadach, którzy też uderzali w struny harfiane.

Dziś święcić winniśmy jubileusz nietylko pracy Tetmajera, którą już dokonał. Czcić powinniśmy przedewszystkiem wzór człowieka, co nie ugrzązł na jakiejś prawdziwej lub złudnej idei, ale stale idzie naprzód. Najbardziej bowiem pociąga w każdym pisarzu tylko to, czy idzie on naprzód z żywymi, czy też chce zatamować swojemi ramionami ruch, walkę, życie. Tetmajer na swój sposób chciałby rozszerzyć horyzont tego życia, chciałby wszystkim umożliwić, by mogli odnaleźć swoją prawdę. Patrzy on w życie oczami doświadczonemi, a to mu każe mniemać o względności wszystkiego. Temniemniej jednak prze on ku słońcu, prze ku swoim halom i wirchom, prze na ostępy zawrotnych tatrzańskich skał. Dawna niemożność szczęścia, dziś inaczej wygląda w oczach Tetmajera. Dziś już nie o szczęście metaficzne Tetmajer walczy, dziś szczęście społeczne interesuje go. I to właśnie łączy nas z nim w akord harmonijny, choćbyśmy nawet różnie widzieli świat.

Serdecznie wznosimy puhar za jego zdrowie! Niech żyje! Życie jego bowiem, to skarb, którym darzył i darzyć będzie nasze piśmiennictwo.

*Eustachy Czekalski.*



Włodzimierz Nałęcz. (Z wystawy „Krajobraz polski“). **Powrót z połowu.** (Karwia na Kaszubach).

SZYMON TOKARZEWSKI.

1)

# BEZIMIENNY.

„Kto jak słońce zagasa —
wstanie jako słońce“.

Blado różowe, iskrzące, powiewne płatki krążyły i wirowały w powietrzu...

Zdawało się, że jakaś dobra bogini, po wyżynach śródobłocznych, w swoim rydwanie przeciąga nad Irkuckiem, nad okolicami stolicy Wschodniej Syberji i hojną dłonią rozrzuca wiośniane dary: listki kwiecia jabłoni oraz miljardy motyli o lśniących, przezroczystych skrzydełkach...

Było to jednak tylko zwodnicze złudzenie optyczne...

Była to gra złocisto-purpurowych świateł, płonących na zachodnim krańcu widnokręgu.

Te wirujące. ruchliwe motylki o tęczowych, brylantami obrzeżonych skrzydełkach, — owe delikatne, różane listki kwiecia, — w rzeczywistości były to płaty silnie zmarzniętego śniegu, przeświecone słonecznymi promieniami, które łamały się w nich, niby w pryzmatach kryształów...

Dzwony dwudziestu cerkwi irkuckich i dwuch podmiejskich monasterów były w nieustannym, gwałtownym ruchu...

Karylon spiżowych dźwięków, pośród których trzymały prym dzwony *„Krasnoj cerkwi“* rozbrzmiewał w czystem powietrzu, a wstrząsając jego fale, prawie, że wstrząsał domostwa miasta, przeważnie domostwa parterowe, nisko, z zabajkalskich cedrów zbudowane...

Z *kabaków**) i, wogóle, z tych trzystukilkudziesięciu zakładów, w których w Irkucku spirytusowe napoje sprzedawano, dolatywały huczne przyśpiewki, śmiechy i zamaszyste dźwięki bałabajki...

Przy straganach i kramach cisnęli się kupujący...

Ulicami przeciągały pstre, różnoplemienne tłumy...

Drewniane chodniki aż trzeszczały i ugigały się pod nawałą przechodniów, którzy

*) *Kabak* — szynk.

się popychali i tłoczyli, w różnych kierunkach dążąc, to do cerkwi i monasterów, na przedwieczorne nabożeństwa i modlitwy, to do jadłodajni, to znów do miejsc pohulanek i zabaw.

W całym Irkucku spokojny zwykle i powolny puls życia uderzał przyśpieszonem, gorączkowem tętnem.

Panował tu ruch niecodzienny, nadzwyczajny... Powiewała jakaś atmosfera świąteczna...

Bo też ów dzień, dzień dwudziestego szóstego listopada starego stylu był uroczystem świętem, ku czci św. Inocentego Kulczyckiego.

Śmiertelne szczątki tego patrona stolicy Wschodniej Syberji przechowują mnisi, w kaplicy swego monasteru pod Irkuckiem.

Z tej racji, rok rocznie, na dzień dwudziesty szósty listopada, do Irkucka ściągali pielgrzymi nietylko z bliższych okolic, ale z krainy Zabajkalskiej, z nad brzegów Ononu, Usurji, Zei, z kraju Nadamurskiego, z nad granicy Chin i Mongolji.

Przybywali prawowierni wyznawcy prawosławnej cerkwi a zarazem przybywali też koczownicy: burjaci, tunguzi, jakuci, którzy faktycznie byli szamanistami, czy też lamistami,—wszelako oficjalnie uważano ich jako „nawróconych na prawosławje".

Pielgrzymi prawowierni, dla wyproszenia sobie łask i opieki Patrona, bogate dary i poważne sumy pieniędzy składali w monasterze, co uczyniwszy, załatwiali swoje interesa handlowe, nie szczędząc czasu i rubli na zabawy i pohulanki. Bogatsi pielgrzymi lokowali się w jedynym irkuckim hotelu, zwanym: *„Amurskaja gostinnica"*. Ubożsi gnieździli się na przedmieściu w tak zwanej *„Rzemieślniczej słobódce"* lub w domach prywatnych.

Szczególnie uroczyście obchodzono dzień św. Inocentego, w latach siedmdziesiątych, to jest za rządów Sinielnikowa, gienerał-gubernatora Wschodniej Syberji.

Podobno nigdy przedtem, w dniu dwudziestym szóstym listopada nie napływały do Irkucka równie liczne falangi pielgrzymów, jak za czasów tego wielkorządcy, który bądźcobądź był figurą *sui generis* niepowszednią...

Nie posiadając żadnego wykształcenia, z bezprzykładną zarozumiałością pozował na wielce uczonego, a przytem twierdził i utrzymywał, że najbardziej pożądanem jest i potrzebnem aby niżsi urzędnicy mieli takie głowy, w których „niema wcale mózgu"...

Obłudnik, chciwiec i okrutnik w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, był bigotem przesądnym, zabobonnym bigotem, który w odstępach czasu, pomiędzy jednem nabożeństwem a drugiem, gotów był zawsze popełniać czyny, nie mające nic wspólnego z etyką chrześcjańską, a nawet wprost z dekalogiem...

Nam polakom wygnańcom, gienerał-gubernator Sinielnikow porządnie dawał się we znaki...

A w latach siedmdziesiątych Irkuck był przymusową rezydencją dużego, bardzo dużego kontygiensu polaków...

Przebywali tam i wybitni działacze z epoki przedpowstaniowej i z powstania.

Przebywali tacy, którzy z biegiem czasu zasłynęli jako znakomici pisarze, uczeni, badacze, przyrodnicy, doktorzy...

Niektórym lekcje dawały niezłe dochody. Inni zajmowali się handlem.

Były naczelnik miasta Warszawy, Paweł Sandowski, miał sklepik z tytoniem i drobną galanterją. Walenty Lewandowski, naczelnik powstania na Podlasiu, miał też maleńki sklepiczek.

Nie mógłbym powiedzieć, że te liczne rzesze wygnańców polaków, zgromadzonych w Irkucku, były równie zharmonizowane z sobą, jak my konspiratorowie z lat czterdziestych... Że nas *recydywistów z nowymi* a nawet, że *nowych*, pomiędzy sobą łączyła takaż sama wspólność myśli i zdań, takaż sama braterska jedność przekonań, takaż sama gorąca, trwała, dozgonna serdeczność, jaka nas łączyła ongi.

To nie!..

Różniliśmy się... o! i bardzo, różniliśmy się pomiędzy sobą, w naszym światopoglądzie... a cofnąwszy się myślami wstecz, nawet sprawy niezbyt dawno minione, nawet przeszłość nader blizką, nawet *to*, co nas do Syberji zagnało — wielu z nas widziało podówczas pod rozmaitymi kątami światła...

Owa rozbieżność zdań sprawiła, że w Irkucku potworzyły się kółka i kółeczka, spajane sympatją osobistą, a pewno jeszcze w wyższym stopniu spajane wspólnością poglądów i wyobrażeń...

Nieraz też, o! bardzo często, skutkiem rozbieżności poglądów, przychodziło pomiędzy nami do żywej i ostrej wymiany zdań,

do sporów gwałtownych, rozpalonych do czerwoności...

Naogół przecież żyliśmy zgodnie...

Żyliśmy jakoś z dnia na dzień, oczekując powrotu do umiłowanej Ojczyzny...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— Tak wypij to, *duszinko!* wypij mój „*milеńki*"!.. to woda święcona... Woda święcona, wiadomo, to najlepszy lek od wszelakiej *skuki*...*) to najlepszy lek na wszelkie choróbska, które *on*, wiesz?.. a *on* „*zły*" dopuszcza na nas biednych wędrowczyków po tym padole ziemskim...

Tak mówiła Emerencjanna Tryfonówna, wdowa, właścicielka maleńkiego domku, który mijałem, wracając z poczty do siebie.

Emerencjanna Tryfonówna, stała mojego sklepu klijentka, wyobrażała sobie, że Warszawa leży, w jakiejś zaczarowanej miejscowości, na krańcu świata a wszystko, co pochodziło z tej krainy, rzekomo cudownej, w oczach Emerencjanny Tryfonówny było prześliczne i wprost nieocenionej wartości.

---

*) *Skuka* - tęsknota.

(dok. nast.)



**Szymon Tokarzewski w ubraniu chłopa syberyjskiego.**

(Podług obrazu malowanego przez jednego z zesłańców).

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

15)

# STARE LWY.

POWIEŚĆ.

— Aliści tera jakoś uspokoiło się... Zaprzyjcie dech w sobie i idźcie cicho — kończył stary.

Uśmiechnął się do Przemka i do swojej izbicy się powlókł.

Chłopak uczynił tedy tak, jak mu stary Sołtysiak radził. Dech zaparł w piersi i cicho, jak żbik na łów idący, skradał się pod ścianami korytarzy. Tej chwili przypomniał sobie, jako z księdzem plebanem tak niedawno szedł tędy i jak nie wiedząc nic o dobrodzieju, Perełka go napadła — —

Zstrzymał się — i słuch wytężył — —

Cisza — mysz gdzieś chroboce — przez okratowane okna korytarza snują się białe blaski księżyca.

I znów myśl do Perełki wróciła a raczej przypomniały mu się teraz słowa księdza plebana, jakiemi go zarzucał, gdy się dowiedział o onych figlach dziewczęcych a spytał: zali gorącość czuje? a on rzekł: jeżeli przy piecu jest — to gorąco, a jeżeli przy zwykłej ścianie — to nie!

Zamyślił się... i coś mu w piersi niby żarem zapiekło, przeszło do serca i ogniem rzuciło w twarz.

Obejrzał się —

— Pieca niema — przy zimnej ścianie stoi a cały warem oblany.

Tegoć nie było dawniej!.. Twojać to wina, księże proboszczu, któryś mu o onej gorącości myśl podsunął.

Przypominać tedy jął sobie wszystkie spotkania się z Perełką, jej pląsy i skoki, niecierpliwe dreptanie nóżkami, pochylanie się naprzód, to umykanie nagłe, które niczem innem nie było, jak do gonitwy zachętą, a zawsze ze śmiechem na ustach i ząbków błyskaniem.

Pieca niema — a jemu żar sypie się do wnętrza — — —

Szelest!..

Przemko zatrzymał dech w piersi, — w słuch się zamienił, w wzrok — — —

Szmer słychać i tupotanie wyraźne stóp bosych.

Tyżeś-to, wietrznico?..

Wierzy—nie wierzy!.. jedno wie tylko, że rady nie może sobie dać z sercem roztulo-

nem, że jakieś płomyki ogniste po rozpalonych ustach przebiegają.

W tem miejscu korytarz się załamywał...

Pojrzy — —

A jużci Perełka!..

I nie śpi to, jeno na powracającego czatuje. Musiała zasłyszeć zgrzyt klucza Maćkowego w zamku u furty; zasłyszeć jak cicho przez korytarze się przesuwał — i wybiegła z babieńca, oszukawszy czujność pani ochmistrzyni.

Przemko przypadł do muru — i patrzy...

Aha!.. czai się, jak kotka biała... Już zdobycz swoją spostrzegła... już, już się pochyliła do skoku...

— Poczekaj — ja pierwszy!..

I skoczył ku skradającej się Perełce... nie — skoczyli razem.

— Masz-ci miód! — zawołał chłopak —

I wpół ją chwycił — —

Dziewczyna nie spodziewała się napaści — —

— Przemko! — zakwiliła —

— Niby nie chcesz?..

— Puść — puść!..

— Teraz ksiądz pleban nie powie, żem głupi!

I w usta się wpił, niby pszczoła w róż listki.

Cisza była, niepokalana cisza; ustało nawet chrobotanie gdzieś myszy, słychać jeno brzęk pszczół, pracujących nad pełnymi słodyczy róż listkami.

III.

Imci pan wojewoda Włodek wstawał zawsze z pierwszym brzaskiem słońca. Latem więc wcześnie, zimą późno... I system ten na dobre mu wychodził. Czas, stracony podczas długich nocy zimowych, wynagradzał sowicie życiem ruchliwem i czynnem, gdy po dniu przesilenia slonecznego noc coraz krótszą się stawała a dzień dłuższy. Bez skoków żadnych i ruchów nieprawidłowych wciągał się systematycznie w tryb życia gwiazdy dziennej, tak, że w chwilach niepodzielnego już jej panowania nad nocą, parę godzin spoczynku wystarczało zupełnie wojewodzie. Budził się zdrów i krzepki, jakby poza sobą miał nie jedną godzinę wywczasu, nie czując na barkach swoich pięćdziesięciu sześciu lat już przeżytych.

Okno sypialni pana Mikołaja wychodziło na wschód. Pierwszy strzał słońca przez małe szybki, nieosłonione firankami żadnemi, padał na tarczę, zawieszoną na ścianie naprzeciwko głowy śpiącego—i—skrząc się jarząco w stali polerowanej, odbity od jej powierzchni zwierciadlanej, blaskiem jaskrawym uderzał prosto w oczy wojewody. Zbudzony, podnosił się zaraz z pościeli, nie pozwalając sobie na pokusę choćby chwilowego przydłużenia marzeń najmilszych i półśnień nęcących. W tej chwili drzwi się otwierały i wchodził Przemko z dużym dzbanem wody źródlanej; podsuwał papucie, spryskiwał łeb esencją balsamiczną, asystował przy pańskiej kąpieli, wiechciem aż do czerwoności smagał ciało wojewodzińskie, (co czynił z zadowoleniem niemałem), później narzucał gzło na wykąpanego już pana i dopełniał reszty ubioru. Na dany znak służba wnosiła piwo grzane libo polewkę winną, po których spożyciu pan wojewoda szedł do Dominisi, by o jej dowiedzieć się zdrowie albo Przemka posyłał do niej z zapytaniem: jak się ma dzisiaj jaśnie wielmożna wojewodzina Włodkowa?

Tak bywało codziennie—i wszyscy usługujący panu musieli się stosować do tych wskazówek słońca bez względu na porę roku. Zaspać nie wolno było lub czekać zawołania. Budziło się słońce i pan wojewoda się budził. O tem musieli wiedzieć.

Jakże się zdziwił pan Włodek, gdy dziś zbudziło go słońce i on z pościeli się uniósł, nogi spuścił na futro niedźwiedzie i czekał chwil kilka a czekał daremno na ukazanie się Przemka. W dłoń klasnął — ale to żadnego skutku nie miało. Echo tylko odklasnęło — i zmilkło.

Pan wojewoda gniewnie brwi ściągnął, sam sobie papucie podsunął, amarantową kołdrą się okrył i wziąwszy krótki bat z byczej skóry, zawieszony nad łożem, udał się za przepierzenie, z drzewa cisowego misternie rzeźbione, gdzie legiwał Przemko na skórze łosiej, rozłożonej na ziemi. Okno, aczkolwiek w głębokim osadzone murze, przepuszczało dość dużo światła, a że skośnie od szyb mur biegł ku dołowi, fala słońca spływała na pościel Przemkową, odbita od górnej ściany okna. Ciepło promieni zbudziło drzemiące po kątach pyły i złoty pas słońca przesiały jasną, ruchomą mgłą.

Przemko spał snem twardym... Inna mu się marzyła przygoda, niż ta, jaka go oczekiwała.

— A, smyku!..—mruknął pan Włodek.— Chrapiesz w najlepsze, gdy pan się obudził?

Ścisnął bat w pięści...

Ale ręka do zamierzonego nie podniosła się ciosu.

Pan wojewoda zawahał się — — Gniewna brew straciła wyraz srogości, twarz złagodniała, uśmiech poruszył usta.

Pochylił się — i wpatrzył w śpiące pacholę.

Zaiste! dziwnie piękny obrazek miał przed sobą.

Przemko leżał na wznak w objęciu jakiegoś snu rozkosznego. Złote kędziory rozsypały się na białej pościeli, prawa ręka, niby rama z różowego wyrzeźbiona koralu, otoczyła śliczną głowę młodziana, lewa bezwładnie leżała, wyciągnięta wzdłuż postaci całej. Gzło, rozrzucone nieco, pokazywało pierś lekko falującą i piękną kolumnę szyi. Na twarzy rozmarzenie, na ust koralach igrał uśmiech słodki. Trudno było odgadnąć czy te usta sen całowały, czy sen całował te usta. Ale unosił się czar nad niemi, czar marzeń słodkich.

Wojewoda stał pochylony i patrzał.

Miał uczucie, że śmiertelny popełniłby grzech, gdyby sen taki przerwał.

To też gniew wszelki prysnął z oblicza srogiego przed chwilą pana; ciepło snu Przemka udzielało się powoli wojewodzie, budziło w duszy jego pamięć lat dawnych i dawne wspomnienia; wiało czarem młodości, urokiem minionego już piękna.

Westchnął —

Głębokie to było westchnienie.

Chmurą zaszło oblicze wojewody, bruzda bólu zorała czoło — —

Był... ostatni z rodu — —

Os-tat-ni!..

Może gdzieś błąkały się po świecie odrośle, od głównego pnia oderwane, tego samego imienia i herbu, ale o nich nic nie wiedział ni on, ni świat. Szczytowy konar prastarego pnia Włodków — na nim usychał. Podwójne małżeństwo nie dało mu dziedzica sławy ojców, spadkobiercy ich imienia i mienia. Dziad jego — coprawda srodze ukaran był przez króla Kazimierza za zbereżeństwa różne i rozboje — ale przed śmiercią jeszcze z Panem Bogiem się pogodził, pół mienia oddał na kościoły i klasztory, w pątniczej szacie do Grobu Jezusowego poszedł, dzban świętej wody Jordanu, zaczerpniętej w miejscu, gdzie odbył się Chrzest Chrystusów, na własnych barkach przyniósł — i gdy do Krakowa przydybał a zastał tam zimne już zwłoki króla-karciciela na marach złożone, ryknął płaczem wielkim, a pokropiwszy trumnicę wodą jordanową, rzekł w głos, kając się:

— „Pierwszy to ja znieważyłem ciebie, panie mój miłościwy, króla chłopów nadając ci miano, ale grzech ony przebaczon mi będzie, bom ci go srodze odpokutował, trędowatych żydowinów całując w ziemi judejskiej, na cobyś się nigdy nie zgodził, panie mój miłościwy, całujący kmieciówny gładkie i mieszczki fertyczne“...

I wyszedł głos z trumnicy:

— „Dobrześ rzekł!..“

Tak opowiadał dziad pana wojewody w starości późnej lat swoich.

Rozradowały się tedy dusze przodków z onego zrozumienia przez króla nieboszczyka wielkiej ofiary ich potomka.

Ojciec imci pana Włodka służył już wiernie panom swoim. Piastował godność cześnika krakowskiego; wraz z kasztelanem zawichostskim, Mikołajem Bogorją, Krystynem z Ostrowa i innymi senatory sprawował poselstwo do Wielkiego księcia Litwy, Jagiełły, który ich zacnie na zamku krewskim przyjmował, on zaś, jedyny syn pana cześnika, na tron węgierski Władysława Warneńczyka sadzał.

(d. c. n).



**Wacław Jankowski.** (Sal. art. Richlinga). **Via S-ta Anna.** Wenecja.

WACŁAW GĄSIOROWSKI.

11)

# WOJNA NARODÓW

**powieść historyczna z epoki napoleońskiej.**

Benoit ledwie oburknąć się raczył:

— A no! Żebyś się po nim zmartwiła!

Wreszcie i Benoit ukończył przygotowania.

Gromadka obsiadła ognisko. Kociołek zasyczał i buchnął parą. Gryzący zaduch dymu zmieszał się z ckliwym, mdłym zapachem.

Benoit ujął prawą ręką za tasak saperski, lewą za manierkę.

— Ani mi się waż!—mruknął i, podniósłszy manierkę do ust, przechylił.

Rozległ się krótki bulgot. Benoit odsapnął, czknął i rozkazał.

— Marta, choć sam!

Marta podsunęła się skwapliwie i wyciągnęła rękę. Lecz Benoit nie dał jej tknąć manierki. Sam ją do ust Marty przyłożył i, za czwartym łykiem oderwał. Dalej w ten sam sposób obdzieliwszy barona i hrabiego,— już na postronek do pasa ją zaczął troczyć, gdy, w otworze nory ukazała się blado-sina, wykrzywiona twarz Blanki.

— Jeszcze lezie z gębą!

— Nie dawać! — I tak ją! — przyświadczyła Marta.

— Nu — *ja*! — zawtórował przeciągle baron.

— Jej nie pomoże a dla każdego z nas po łyku będzie!

Hrabia, który był poruszył wargami, na tą wtórą uwagę Marty, wpił wzrok w zardzewiałą powłokę manierki.

Benoit podczas, miast pójść za głosem towarzyszów, czegoś wahał się, ociągał.

Marta bluznęła potokiem złych wyrazów.

Benoit już miał uledz, lecz, naraz, we wpółrozchylonych, maleńkich ustach Blanki, zalśniły się dwa rzędy drobnych, perlistych zębów. Oczy szafarza zaiskrzyły się. Manierka ku Blance się wyciągnęła i przylgnęła do jej warg.

Marta zadygotała z pasji. Baron zacisnął pięście. Hrabiemu głowa zwisła na piersi.

— Lepiej w śnieg wylać niż tą zdechłą poić!—syczała z wściekłością Marta.—Gdyby nie ona, nie podziewalibyśmy się na mrozie! Sprawiedliwość głupia!

Benoit, który był całą zawartość manierki w usta Blanki wysączył, odwrócił się hardo do Marty.

— Nie przypada ci, to idź gdzieindziej!

— Idź sam! A dobytku wspólnego nie marnuj!

— Wspólnego? Myślisz! *Sacre canon*, gdyby nie moja łaska, kości całej by z was nie zostało!

— Albo i z ciebie.

— Co, śmiesz mi grozić!?

— Mówię ci tylko, żeś jeden a nas troje! — odparła głucho Marta.

Benoit rozśmiał się nieszczerze.

— Cha — cha! Niedoczekanie wasze! Ale dobrze, że wiem. Zagram ja z wami inaczej. Niech mi który mrugnie. A ciebie pierwszą nie ominie!

— Ja tylko na krzywdę...

— Milcz, wiedźmo!

Marta skuliła się pokornie. Benoit obrzucił wyzywającem spojrzeniem nieruchomo siedzące postacie hrabiego i barona i zakonkludował spokojniej:

— Brać się do kotła!

Gromadka, na ten rozkaz, jęła na prześcigi, odsuwać płonące szczapy, wyciągać kocioł, i dobywać zeń dymiące połcie mięsa i układać je na śniegu przed Benoit'em. Ten, nie mieszkając, porąbał je zgrubsza, wybrał sobie tęgi kawał i skinął przyzwalająco.

Marta a za nią hrabia i baron porwali za ochłapy, nawet chude, drżące ręce Blanki zdołały dosięgnąć sporego kęsa koniny.

Przez chwilę słychać było jeno łakome mlaskanie i miarowy odgłos natężonych żuchw.

Aż Benoit, który się pierwszy uporał ze swą częścią, dobył łyżki z za pazuchy i zanurzył ją w brudnej, gorącej cieczy. Nasyciwszy się cieczą, oddał łyżkę baronowi.

— A cóż, jedzcie dowolna! Przaśne aby ścierwo.

— Żeby soli z garstkę!—ozwał się hrabia.

Benoit parsknął pogodnie:

— Zawsze ci wielkie państwo w głowie! Bądź kontent, że nam szkapa w samą porę padła! Inaczej nie dałbym ci jej tknąć!

— Nie wiele by uczyniła więcej w tej topieli niż w kotle.

— Ciesz się tedy, że ci trafiła do żołądka.—Bierz sam po sucharku!—Udał nam się ten ostatni chłop!

(d. c. n.).

# Walka olbrzymów...



Wieś w zimie. Fotogr. Stanisław Maciejowski.
(Z wystawy „Krajobraz polski“).

Wiek dziewiętnasty wytworzył przeświadczenie o świętości pracy. W starożytności praca była piętnem niewolnictwa. Nawet Platon swoją idealną rzeczpospolitą wybudował na niewolnictwie, na lekceważeniu materjalnych podstaw społeczeństwa. I dopiero walka wieków z mozołem i trudem zdobyła dla pracy zrozumienie i szacunek. Pierwsza połowa dziewiętnastego wieku roiła się od hymnów na cześć pracy. Dziś jeszcze słyszymy te pieśni i coraz donośniej rozchodzi się ich echo. Nawet ukoronowani monarchowie, nawet przesądna arystokracja ima się tych haseł. Brzemię współczesności przechyliło się zupełnie w stronę pracujących i niema dziś stronnictwa politycznego, któreby lekceważyło pracę...

W Niemczech, we Francji, w Anglji, we Włoszech robotnik stał się jedną z najpoważniejszych sił społecznych i politycznych. Dosyć jest policzyć liczbę posłów robotniczych, by przekonać się, jak dojrzałą jest świadomość tych klas. Z nieubłaganą logiką rozwoju przechodzi obecnie władztwo mieszczaństwa w ręce robotnicze, jak kiedyś z rąk szlachty przechodziło w ręce mieszczaństwa. Nie znaczy to, że klasy, które oddają przewagę w cudze ręce, giną z powierzchni dziejów. Nie. Muszą dzielić tylko swoją uprzywilejowaną władzę, co w istocie wpływa nad wyraz dodatnio na stosunki społeczne. Jest bowiem rzeczą powszechnie wiadomą, że demokratyzacja stanowi tylko o możliwej sprawiedliwości społecznej. A więc, gdy wskutek demokratyzacji urządzeń przyjmują w rządach udział wszyscy obywatele, rzecz zrozumiała, że wytworzą oni tylko taki zespół, który odpowiadać będzie interesom ogółu, a nie poszczególnej klice. Prawodawstwo też ma przed sobą możność sprawiedliwości i bezstronności.

Dzieje jednak rozwinęły te urządzenia demokratyczne na zjawieniu się czynnika, który był nieznany prawie starożytnym. Wyrósł nowy, ważny sprzymierzeniec rozwoju, który równorzędnie stawał się zaporą dla sprawiedliwości, choć w zaraniu tylko o tę sprawiedliwość wołał. Był to kapitał, który w gospodarce naturalnej, w gospodarce średniowiecza nie ważył jeszcze na szali społecznej tak decydująco, jak to dziś zauważyć się daje. Nie mieliśmy jeszcze wtedy przemysłu, który szuka sobie rynku zbytu. Co wyprodukowało społeczeństwo, to i zużytkowało. Dziś produkuje się pięć razy więcej, niż potrzeba, a to dlatego, że społeczeństwa swój byt głównie opierają na zdolnościach produkcyjnych. Nie znano w starożytności i w średniowieczu gospodarki społecznej, opartej na szerokiej wymianie produktów. Wozili coprawda Fenicjanie swoje lub cudze wyroby do Rzymu, ale to tylko minjatura tego handlu międzynarodowego, który dziś owładnął całą ziemią. Dziś społeczeństwa istnieją jakgdyby tylko poto, by handlować, by wymieniać, by produkować. Cała polityka zajmuje się ochroną handlu, ochroną przemysłu. Jeżeli buduje się okręty lub woła się o zwiększenie kontygiensu rekruta, to tylko poto, by handel danego państwa mógł swobodniej i na lepszych warunkach urządzać swoje operacje. I każdy historycznie myślący człowiek zdaje sobie sprawę czemu Niemcy współzawodniczą z Anglją, czemu Ameryka baczenie pilnuje wszystkich traktatów europejskich, czemu dziś Włochy porwały się na wojnę z Turcją. Nie o podbój ziemi tylko chodzi. Włochy szukają oddawna rynku dla swoich wyrobów. Małżeństwo Wiktora Emanuela z królewną dziedziczną jednego z tronów półwyspu Bałkańskiego nie było tylko racją serc wskazane. Włochy dawno szukały rynków na półwyspie Bałkańskim, a małżeństwo utorowało ku temu drogę. Kto śledzi ekspansję ekonomiczną narodów, ten zobaczy czego nie robią mocarstwa, by zyskać jakieś rynki zbytu. Państwa bowiem współczesne są w zupełnej zależności od urządzeń ekonomicznych i, chcąc nie chcąc, muszą podporządkowywać się woli przemysłu.

W krajach o wysokiej kulturze ekonomicznej znać to tak dokładnie, że dosyć jest wskazać Niemcy, by udowodnić tę zależność mocarstwa od przemysłu. I dlatego państwa muszą wziąć na siebie obowiązek w regulacji przemysłu, w regulacji stosunków przemysłowych. Państwo bierze na siebie pieczę w normowaniu życia przemysłowego, staje się coraz więcej rozjemcą w walce między interesami wielkiego przemysłu a dobrem obywatela. Trwa bowiem od lat stu nieubłagana walka między tendencjami przemysłu a intencjami społecznej

sprawiedliwości. Przemysł sam pomógł do uświadomienia tych intencji, ale nie chce pomódz w realizowaniu. Toczy się uparty bój dwuch olbrzymów współczesności: kapitału i pracy. Przemysł skupił te dwa olbrzymy w swojej piersi i na jego terenie rozgrywają się te dantejskie walki o sprawiedliwość.

Strejk górników angielskich i niemieckich—toż przecież owa wołająca o świadomość społeczną wojna interesów kapitału z dobrem przeciętnego obywatela. Angielski rząd wtrącił się do tego zatargu, bo było dla każdego jasnem, że państwo w takich wypadkach musi być regulatorem konfliktów. Ochraniając kapitał, musi ochraniać i pracę—tworzą przecież te dwa składniki przemysł, a na tem stoją dziś państwa. Poniechać kapitał dla pracy, lub pracę dla kapitału — to znaczy nie zrozumieć interesu państwowego. W Anglji w ten sposób motywowano bill minimum płacy, gdy go przedłożono Izbie niższej.

W Niemczech nie przyszło jeszcze do takiego zrozumienia znaczenia pracy dla przemysłu, a co za tem idzie dla państwa, ale temniemniej państwo dba o klasę pracujących. Kasy chorych, ubezpieczenia na wypadek kalectwa—wszystko to są instytucje, które umożliwiają klasie pracującej życie. W Rosji, jako państwie jeszcze mało uprzemysłowionem—niema mowy nawet o tych elementarnych ulepszeniach, które spotykamy już w Niemczech. Polacy, pracujący na terenie królestwa polskiego, które jest w państwie rosyjskiem jedyną przemysłowo rozwiniętą ziemią, podzielać muszą los pozostałych ziem należących do Rosji.

W krajach zachodnich wszyscy myślą o łagodzeniu konfliktów między kapitałem a pracą. U nas o tem mowy niema. Nawet dobra wola nic nie może zdziałać wobec warunków politycznych w których żyjemy. I dlatego patrzyć musimy na niejedno zło publiczne bezsilni. Bo gdybyśmy mieli możność społecznie pracować wedle tych potrzeb, jakie dyktuje nam uprzemysłowienie naszego kraju, napewno bezmyślne bomby krawieckie i inne szewckie i piekarskie morderstwa nie zawitałyby w nasze progi. Wiemy, że przed poszczególnemi zdarzeniami nie ustrzeglibyśmy się. Ale napewno zaradzić potrafilibyśmy manji ogólnej. W Niemczech bowiem, gdzie świadomość robotnicza jest przez związki zawodowe odpowiednio urobiona, takie anarchistyczne, gremialne wystąpienia nie zdarzają się.

Przypatrujemy się walce olbrzymów współczesnych i musimy tylko narazie poprzestać na przyglądaniu. Nie znajdzie bowiem w naszem społeczeństwie, wobec warunków istniejących, nikt posłuchu, kto walkę tę łagodzić zechce. Największy dostęp przecież do mas mają tylko ci, co szerzą walkę. Rozjemcą być na razie niepodobna. Co zaś przyszłość przyniesie—czekajmy.

## „To samo" Staffa — Teatr.

Wytworny poeta, jeden z najzdolniejszych w młodem pokoleniu, znany ze swoich klasycznych ukochań wystąpił przed nami w roli, o którą niktby go nie posądził. Stał się oskarżycielem społecznym i... przegrał na tej zamianie stanowiska artystycznego. Widocznie trudno jest jednocześnie rzeźbić misterny sonet i sięgać w brudne, zatęchłe rany, by z nich czarnemi zgłoskami wywołać świetlaną wizję marzeń.

Leopold Staff, gdy pisał „Skarb" był w swojem państwie snów i legiend. Był to jakgdyby dalszy ciąg jego czysto brzmiących strof o mocy, co serce musi sobie wykuć bez skaz i szczerb. „To samo" dodaje nowy materjał, który po raz pierwszy zjawił się na palecie poety. Ciekawe, że teatry nie zainteresowały się czysto poetyckiemi emanacjami Staffa. Chwyciły jednak natomiast sztukę, gdy o tych poetyckich walorach mowy niema, gdy rozpiera się poprzez trzy odsłony ziejąca, trywialna szarzyzna.

W każdym razie teatr Zjednoczony uczynił dobrze, że zaznajomił publiczność warszawską z tą familiendramą. Zapewne teatry warszawskie dopiero na jubileusz kiedyś zbiorą się, by pokazać, jak śnił o „Skarbach" Staff. A premiera choć nieudanego dramatu, zaciekawia publiczność do autora, bo następuje wymiana zdań, co wpływa bezwzględnie na zainteresowanie. W stosunku do Staffa, było to nadwyraz pożądane. Któż bowiem u nas czyta poezje, jeżeli nie wskaże ich fama publiczna?



**Teatr Zjednoczony.** **„To samo".**

„To samo“—jest sztuką o zupełnie naturalistycznem zabarwieniu. Jakiś „papo“ poczciwiec-hycel, jakaś mama, czytająca feljetonowe powieści, idealna córka, nawpół idealny sublokator; dorosły „uczeń“ kochający się w córce idealnej. Rzecz zrozumiała, że takie środowisko zmiażdży los idealnej córki. Konflikt, jakich widzieliśmy tysiące, a co najważniejsze, że w ujęciu nie daje Staff nic nowego. Gdyby oryginalnie zagadnienie to przemyślał, ale nie, daje konwencjonalny, szablonowy dramat między ideałami a brudem „rzeczywistości.“ Tylko doskonała gra Zelwerowicza skupiała na sobie ciekawość wszystkich, bo gdyby nie to, już po pierwszym akcie wszyscy wiedzieli... że dwa następne są niepotrzebne. W noweli, w jednoaktówce może temat zyskałby na ekspresji. W trzyaktowej zaś sztuce—nudził.

Z aktorów wyróżniła się p. Starska, która, pomimo wielu jeszcze niedociągnięć, ma wszelkie warunki by się stać doskonałą aktorką.

W teatrze Małym p. Zalewski wystawił oryginalną sztukę p, J. Mannowej p. t. „Skazana.“ Nie chcę przesądzać, czy sztuka ta będzie miała powodzenie. Jest jednak faktem, że premiera była właściwie świętem familijnem autorki. Zebrali się jej znajomi, krewni, przyjaciele i bili brawo, rzucali kwiaty, choć dyskretnie nieraz uśmiechano się pod wąsem. Temat bowiem, jak i obrobienie sceniczne grzeszy wielką naiwnością. Nie mówię tu o talencie. Były miejsca, które uderzały świeżością, co świadczy o zdolnościach pisarskich. No, ale to nie rozgrzesza autora, przed publicznością, która nie przyszła na festyn rodzinny. Wystawa była staranna, jak na środki teatrzyku p. Zalewskiego. Tylko gra nie zawsze pomagała autorce do... sukcesu. P. Bończa stanowczo powinna przestać grywać i zacząć się uczyć porządnie mówić po polsku, nietylko bowiem błędnie akcentuje, ale nawet źle odmienia. Znośną była p. Szyllinżanka i doskonałą tylko p. Wierzejska, jako matka skazanej cyganki.

*E. C.*







**H. Opieński. M. Rüdigerowa. M. Michałowicz.**

Profesorowie Warsz. Tow. Muzycznego, których uczniowie, kończący wyższy kurs muzyczny, z wielkiem powodzeniem popisywali się na koncercie.

## Z MUZYKI.

Wielkie zainteresowanie wzbudził w ubiegłym tygodniu koncert uczniów Warszawskiego Tow. Muzycznego. To też sala Resursy Obywatelskiej wypełniła się po brzegi. Popisywali się uczniowie kończący kursy wyższe prof. B. Domaniewskiego, M. Rüdigerowej, M. Michałowicza i H. Opieńskiego.

Kwartet smyczkowy Bethowena, odtworzyli poprawnie pp. Buchner, J. i B. Nudelmanowie i Seiderman.

Na dwuch fortepianach wykonały warjacje Schumanna i Gavotte Raffa, utalentowane pianistki pp. Jerominówna i Drège, prócz tego wyróżnił się również p. Nudelman (wiolonczela) i w kwartecie Saint-Saensa p. Kolbińska (pianistka) oraz p. Buchner (skrzypce). Koncert ten dowiódł, że Tow. Muzyczne przy doborze pierwszorzędnych sił pedagogicznych stoi na wysokości wielce odpowiedzialnego swego zadania, i niespożyte zasługi może położyć, kształcąc rok rocznie poważny zastęp uczni, z których na czoło wybijają się tak obiecujące siły, jakie dały nam się właśnie poznać w ubiegły poniedziałek. Szczerze oklaskiwaliśmy uzdolnionych uczniów i uczennice a słowa równie szczerego uznania składamy na tem miejscu dyrektorowi Tow. Muz. prof. Domaniewskiemu oraz profesorom: Michałowiczowi. Opieńskiemu i Rüdigerowej.



**Prof. B. Domaniewski**

dyrektor Warsz. Tow. Muzycznego.

*

Lutnia z Piotrem Maszyńskim na czele, hołdująca zasadzie pielęgnowania pieśni rodzimej, dzielnie wykonała w Filharmonji na chór mieszany „Powitanie słońca“ Müncheimera „Cygankę“ Nowowiejskiego i pieśń z „Przedświtu“ Krasińskiego — Wł. Żeleńskiego. Solistkami były: p. Marja de Teisseyre—uczennica prof. Myszugi—śpiewaczka i p. Margerita Trombiniówna, córka b. dyrektora b. Opery polskiej — pianistka. Obie urodziwe solistki cieszyły się wyjątkowem powodzeniem, były oklaskiwane gorąco i obdarzone kwiatami. Artystyczny akompaniament spoczywał w rękach prof. Rzepki i prof. Starczewskiego.

*

Koncert popołudniowy niedzielny w Filharmonji śmiało rzec możemy—uświetniły dwie młode a wybitne już siły: p. Janina Familjerówna (fortepian) i p. Marjan Palewicz (śpiew). Panna Familjerówna w utworach Bacha, Scarlattiego, Friedmana, Zarębskiego i Liszta, wy-



**Piotr Maszyński**
dzielny dyrektor „Lutni".

kazała nietylko nadzwyczajną technikę lecz i wielką kulturę artystyczną i żywiołowe, głębokie uczucie. P. Palewicz dał się poznać jako barytonista, rokujący wielkie nadzieje. Głos to prawdziwie piękny o niepospolitej sile. Stanowczo, nietylko na estradzie lecz i w operze, rokujemy artyście przyszłość, posiada bowiem poza pierwszorzędnymi warunkami głosowymi, również i wyjątkowe warunki zewnętrzne. —

I znów dziecko cudowne... Był Chajfec, teraz wystąpił p. Miron Polakin. Trzeba jednakże oddać sprawiedliwość, że młodociany, conajwyżej 15-letni skrzypek, ma ton niezwykle silny, technikę rozwiniętą i rzadką brawurę. Patrząc na tych Chajfeców, Polakinów i innych, musimy przyznać, że rasa semicka jest wyjątkowo muzykalna. —



**Janina Familjerówna**
znakomita pianistka.

Sukces młodego pianisty p. Józefa Turczyńskiego na koncercie Tow. Muzycznego, w pierwszej połowie marca (patrz „Złoty Róg" № 12 z wizerunkiem artysty) zachęcił go do dania koncertu własnego w Filharmonji. Młody wirtuoz wystąpił z programem olbrzymim i umiejętnie ułożonym. Pierwsza część klasyczna, drugą wypełniły utwory Chopina, a trzecią część utwory współczesnych kompozytorów. P. Turczyńskiego śmiało można nazwać fenomenalnym wirtuozem; siła, technika i wytrzymałość wprost w zdumienie wprowadzają, a przytem aksamitność tonu i subtelność frazowania, oraz indywidualność w pojęciu kompozycji — czarują słuchacza. Koncert ten był rzeczywistym i pełnym tryumfem młodego pianisty. *Z.*



**M. Polakin**
młodociany skrzypek.



**M. Palewicz**
wielce utalentowany barytonista.

## Leopold bar. Kronenberg.

**1812 — 1879.**

Urodzony w r. 1812, w latach 1830-31 skończył liceum warszawskie. Chcąc zaprawić się do działalności na polu handlu i przemysłu, wstąpił w Hamburgu do Domu Handlowego. W r. 1851 zakłada Dom Bankowy w Warszawie. Od tej chwili niema instytucji w kraju, do której założenia nie przyczyniłby się Leopold br. Kronenberg. Więc: Bank Handlowy, Kasa przemysłowa, Towarzystwo Kredytowe m. Warszawy, Warsz. Tow. Ubezpieczeń, Ustawa Giełdy, Tow. Wzajemnego Kredytu, Towarzystwo kopalni węgla i zakładów górniczych — wszystkie te instytucje zawdzięczają mu w znacznej części swoje istnienie. Wybudował koleje: Terespolską, Nadwiślańską, W.-Wiedeńską, skąd wyparł żywioły obce z korzyścią dla kraju. Współdziałał i przyczyniał się do usiłowań urzeczywistnienia ideałów narodowych. Dbał o dobrobyt klasy pracującej — zakładał kasy przezorności, szkoły techniczne. Założył „Gazetę Codzienną"—później w 1859—„Gazetę Polską". Pismo było prowadzone bezkoteryjnie. W 1875 r. zakłada szkołę Handlową, której dyrektorem był Przystański. Potem założył szpital dla dzieci. Z pisarzy naszych — Kraszewski był przyjacielem Kronenberga, który „nietylko miał umysł szeroki, co stworzył wiele, ale i serce wielkie, co kraj ukochało". *W.*



**Leopold bar. Kronenberg.**
(W setną rocznicę urodzin).

## Otwarcie nowego przytułku.

Towarzystwo pomocy ubogim położnicom, w krótkim stosunkowo czasie zaznaczyło się wielce pożyteczną działalnością. Przed dwoma laty, dzięki zabiegom T-wa, powstał I-szy bezpłatny przytułek dla położnic a w ostatnią niedzielę nastąpiło znów otwarcie II-go takiegoż przytułku przy ul. Twardej № 27.

Należy zaznaczyć, że choć przytułek jest fundowany przez T-wo żydowskie, jednakże przyjmuje położnice bez różnicy wyznania. Piękny przykład miłości bliźniego.

Prezesem T-wa jest p. W. Wagner, wice-prezesem p. F. Kryńska, sekretarzem p. L. Mühlsztein, a lekarzem naczelnym p. A. Lipsztadt.



**Grupa inicjatorów i założycieli nowego przytułku położniczego**
z prezesem p. W. Wagnerem, wice-prezesem p. F. Kryńską, naczelnym lekarzem p. A. Lipsztadtem i sekretarzem p. L. Mühlszteinem.

## Hojny i rozumny zapis.

Ofiarność publiczna w ostatnich latach szczodrze zasiliła niejedną instytucję dobroczynną, wiele szkół i kościołów. Jednakże i tu, jak we wszystkiem, dał się zauważyć jakiś owczy pęd. Zasilano wciąż jedne i te same instytucje a wielka jedna darowizna miała już decydujący wpływ na dalsze ofiary dla danej instytucji. Wielka darowizna była tym magnesem, który szereg darowizn (na tenże sam cel) przyciągał. Traciły na tem inne instytucje nie mające szczęścia do hojnych mecenasów.

Ś. p. Feliks Marzyński, obywatel miasta naszego, przypomniał sobie te wszystkie nieobdarowywane instytucje i niemal cały swój majątek 125,000 rb. zapisał tym właśnie zazwyczaj pomijanym instytucjom.

Szlachetny i rozumny zapisodawca. Cześć jego pamięci!



**Ś. p. Feliks Marzyński**
inż., ofiarował 125000 rb. na cele dobrocz.

## Wersje i pogłoski.

W tych dniach miał jakoby udać się do Rzymu o. Pius Przezdziecki z raportem do papieża o sprawie Macocha. Wiadomość nie została potwierdzona. Niemniej zaznaczyć należy, że przecież o. Przezdziecki jest jednym z najbardziej wykształconych i światłych zakonników na Jasnej Górze i taką misję nikt inny, jak tylko on, najlepiejby spełnił.

## Przegląd polityczny.

Cesarz Wilhelm zjawi się niezadługo we Włoszech. Odbywa on obecnie podróż, która ma wyraźne cele polityczne przed sobą. Chodzi o utrzymanie trójprzymierza, gdyż w ostatnich czasach Włochy były zbyt kokietowane przez Francję i Anglję. W sferach politycznych wiedeńskich powiodło się Wilhelmowi, zapewne i we Włoszech rezultat będzie nie gorszy. Projekty zbrojeń niemieckich wywołały w całej prasie europejskiej niepokój. Pisma angielskie zapewniają, że narody albionu przeciw zbrojeniom niemieckim zarządzą u siebie takie powiększenie floty, którym napewno niemcy nie podołają.

Podminowanie Dardanellów wywołało w sferach handlowych zakłopotanie. Giełdy są nerwowo nastrojone. Niemieckie okrętowe towarzystwa telegraficznie zawiadomiły swoje statki, by nie wchodziły w cieśninę. Lada dzień oczekiwana jest bitwa morska.

Na miejsce Czarykowa mianowano ambasadorem w Konstantynopolu Giersa. Giers liczy lat 56, brał udział, jako wolontarjusz w wojnie tureckiej, poczem otrzymał posadę w ministerjum spraw wewnętrznych. Zajmował kolejno stanowiska: sekretarza ambasady w Białogrodzie, w Konstantynopolu i w Teheranie. Następnie był urzędnikiem przy ojcu swym ministrze. Mianowano go posłem w Brazylji; czas jakiś pełnił ten urząd w Argientynie, a podczas pamiętnego powstania bokserów był ambasadorem rosyjskim w Pekinie. Z Pekinu




**o. Pius Przezdziecki**
miał jakoby jechać do Rzymu w celu złożenia raportu ze sprawy Macocha.

przejechał do Monachjum, a od lat ośmiu zajmował stanowisko posła w Bukareszcie. Nominacja Giersa na odpowiedzialne stanowisko ambasadora w Konstantynopolu nie nastręcza narazie żadnych przeszkód w polityce zagranicznej Rosji. W każdym razie stało się zadość żądaniom Austrji.

Roosevelt coraz więcej czyni wysiłków w kierunku uzyskania prezydentury Stanów Zjednoczonych. W 1904 roku oświadczył on dosłownie, że „pod żadnym warunkiem nie zgodzi się być kandydatem na następny okres, ani wyboru nie przyjmie“. Dziś zmienił swoje zapatrywania. Nie jest to w charakterze konstytucyjnym Stanów, gdyż ponowny wybór byłby pogwałceniem zasady, że więcej, niż podwakroć nikt prezydentem obrany być nie może. W ciągu prezydentury Tafta Roosevelt występował nieraz przeciw jego polityce. Dziś streszcza swoje poglądy polityczne w sposób bardzo ponętny, bo zapewnia, że dążyć będzie do rozszerzenia przywilejów ludu w duchu bezpośredniego głosowania, bezpośredniego stawiania wniosków i projektów, a zwłaszcza prawa odwoływania z własnej inicjatywy sędziów i urzędników, którzy nie okazali się godnymi zaufania. Jak widzimy są projekty reform bardzo daleko idących. Czy jednak po wyborze zostaną wprowadzone w życie — to inna sprawa. Świadczą one o pomysłowości Roosevelta, a to już zapewni mu popularność jeżeli nawet nie będzie wybrany.



Były prezydent **Roosevelt** znów stawia swoją kandydaturę.



**W. Trąbczyński**
poseł do parlamentu niemieckiego: krytykował stanowisko rządu, który nie uczynił nic aby doprowadzić do porozumienia między pracodawcami a pracownikami.



**ks. Maciejewicz**
poseł g. Wileńskiej. Pierwszy podpisał interpelację przeciwko postępowaniu władzy szkolnej w 6 okr. gub. Wileńskiej, żądającej wykładu religji w języku rosyjskim.



**A. Babjański**
poseł gub. Permskiej (polak). Gorąco uzasadniał nagłość interpelacji w kwestji ministerjalnych ograniczeń oświatowych względem docentów prywatnych.



**A. Szyngarew**
poseł gub. Woroneskiej z opozycji. W dłuższej mowie występował w Dumie przeciwko polityce prezesa ministrów Kokowcewa.

Zwykle chłodny i rozważny prezes ministrów, Kokowcew, dał się unieść swoim nerwom na jednem z posiedzeń budżetowych i przypomniał kadetom wszystkie ich państwowe „zbrodnie“. Odezwa wyborska wyjechała na plenum posiedzenia... jako argument za budżetem proponowanym przez rząd. Mówca opozycji Szyngarew zyskał jednak poklask nawet p. Mienszykowa, oczywiście, tylko dla dokuczenia prezesowi Rady ministrów. Kokowcew bowiem znajduje się w sytuacji nadzwyczaj nieprzyjemnej. Szczują na niego żywioły ultra nacjonalne jak i postępowe. W centrum też nie ma poparcia.

Okólnik ministerjum oświaty w sprawie ograniczeń docentów prywatnych, wywołał w Dumie interpelację. Za nagłością przemawiał poseł Babiański. Polacy, z ks. Maciejewiczem na czele, zbierali podpisy na interpelację z powodu rozkazu inspektora szkół ludowych 6-ego okręgu gub. wileńskiej, żądającego wykładu religji w języku rosyjskim.

Strejk górników niemieckich został zerwany. Przypisują winę związkom chrześcijańskim i centrowym. W obronie polaków wystąpił z gorącem przemówieniem w Sejmie pruskim poseł poznański Trąbczyński. Dowodził on, że Niemcy traktują nas, jak niewolników. Rząd zachowywał się dlatego biernie i nie pośredniczył w zatargu, że sympatyzował z właścicielami kopalni.

## Katastrofy kolejowe.

Chyba wrócimy do dawnych dobrych czasów, gdy ludziska, nie mając jeszcze pojęcia o elektryczności i parze, człap, człap, człap jechali sobie bryką, koczobrykiem lub karocą — 25, 50, 100 i więcej mil.

„Miła perspektywa!“ powiecie na to sz. czytelnicy. A ja zauważyć pozwolę, że gorsza dziś perspektywa jechać naszemi skarbowemi kolejami, bo... można skarb największy, a no—





**Antoni Dalba**
sprawca zamachu na króla Wiktora Emanuela II-go.





**Rozbity pociąg.** **Transportowanie rannych.**
Katastrofy na kolejach nadwiślańskich. Sokule i Moszczany.

niby własne życie postradać, najmniej spodziewając się tego. Bo doprawdy, w przeciągu dwuch dni 3 katastrofy, czyli $1^1/_2$ dziennie (musimy się na gwałt ułamków uczyć) to już trochę za wiele.

Przez niedbałość lub zaprowadzanie najniepotrzebniejszych oszczędności — życie narażają, a to już przechodzi wszystko, co tylko możnaby w tej mierze napisać! Ale tor szeroki na „skarbowej kolei wiedeńskiej" ma być budowany. Doprawdy, każdy przecież zrozumie, że przy dzisiejszych urządzeniach, czy niemcy będą mieli wązki, czy szeroki tor — dadzą sobie radę z jazdą do Warszawy, o ile nie staną im na przeszkodzie inne prawdziwie rozumne strategiczne urządzenia. Szeroki tor... i szeroko popłyną miljony!

Wracajmy teraz do katastrof a notować będziemy w chronologicznym porządku:

1-sza wydarzyła się na odnodze Brzeskiej kolei nadwiślańskich. Za Łukowem, na rozjeździe Sokule, pociąg osobowy wpadł na pędzące przeciwko niemu, po spadku, wagony z rozerwanego pociągu towarowego. Zderzenie było fatalne — jedna osoba zabita, trzy ciężko ranne, 25—lżej. Wagony towarowe i parę osobowych strzaskanych lub silnie uszkodzonych.

2-ga miała miejsce również na linji nadwiślańskiej. Pociąg pośpieszny Warszawa - Kijów, wskutek źle nastawionej zwrotnicy, wpadł na pociąg towarowy na stacji Moszczany. I znów 5 osób ciężko rannych 3 — lżej. Wagony spiętrzone i porozbijane.

3-cia katastrofa wydarzyła się na kolei warszawsko-wiedeńskiej pod stacją Rudnikami. Pociąg towarowy wykoleił się i uległo rozbiciu kilkanaście wagonów. Rannych jest 10 osób ze służby drogowej, z których 2— ciężko i 8—lżej.

Obfity i krwawy plon.

## Skarb w morzu.

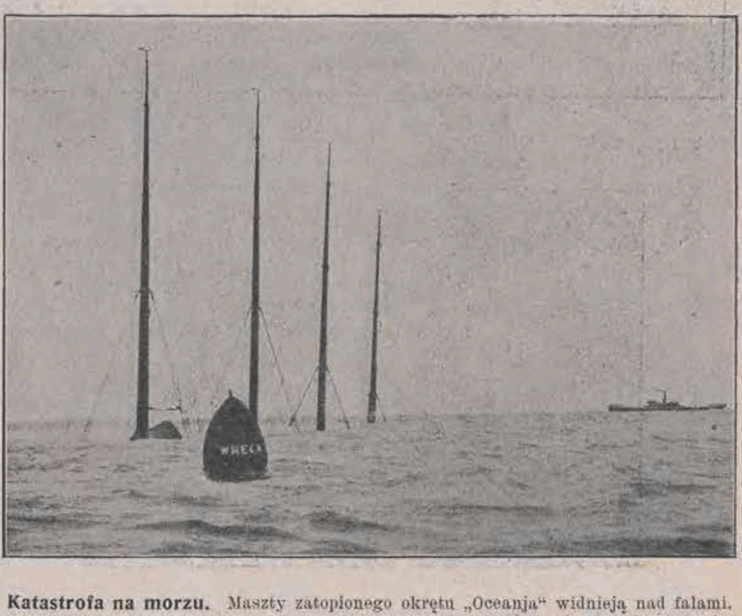
Około Gibraltaru zderzyły się dwa okręty „Oceanja" i „Pisagua". Pierwszy zatonął, drugi — silnie uszkodzony — zdołał jeszcze zawinąć do portu. Podczas katastrofy kilkanaście osób utonęło.

W kasie „Oceanji" znajdowało się 7,000,000 rubli; nad wydobyciem tego skarbu od kilku dni pracują nurkowie. Praca to wielce niebezpieczna i uciążliwa, gdyż kasę pancerną trzeba będzie otwierać w wodzie a po otwarciu rozbijać dalsze skrytki gdzie mieszczą się pieniądze.

## Konkurs piękności dzieci.

(patrz str. 18)

We Francji pozawiązywały się specjalne stowarzyszenia, mające na celu rozwój fizyczny i racjonalne wychowanie dzieci. Ludność Francji zmniejszała się stale i to właśnie skierowało usiłowania społeczeństwa, żeby przeciwdziałać tej klęsce narodowej. Konkurs więc, który ogłosiło pismo „Petite Mère", nie jest wyłącznie konkursem piękności dziecinnych buziaków, lecz—wogóle kształtów i budowy dzieci. Dla ambitnych wychowawców jest to bądź co bądź bodźcem do baczenia nad rozwojem i hygjeną dziecka.




**Katastrofa na morzu.** Maszty zatopionego okrętu „Oceanja" widnieją nad falami.

## HYGIENA PIĘKNOŚCI.

W praktyce mojej hygieniczno-kosmetycznej oraz w znacznej ilości otrzymywanych piśmiennych zapytań z żądaniem odnośnych wskazówek, spotykam się często z kwestją wyrzutów skórnych, spowodowanych nieznośną przypadłością, zwaną „wągrami“. Skóra ludzka wydziela tłuszcz potowy, który chroni ją od wysychania, zapewniając jej miękkość, elastyczność i delikatność. Tłuszcz ten, w zetknięciu z powietrzem, rozkłada się na kwasy tłuszczowe, te zaś wywołują podrażnienia skóry, czyli zapalenia i pryszcze. Otóż w większych porach tłuszcz — pot zgęszcza się a przyjmując z zewnątrz pył i nieczystość, nabiera wyglądu brudnego, niekiedy nawet czarnego—nazywamy to wągrami. Dzielą się one na 3 okresy. Okres pierwszy objawia się tymi właśnie czarnymi punkcikami w porach osiadłymi. Jeżeli nie wytępimy wągrów w zarodku, to jest właśnie w tym pierwszym okresie, to po pewnym czasie następuje zawsze i koniecznie okres drugi, którego objawem są pryszcze, wydzielające ciecz łojową, drażniącą skórę i powodującą jej zapalenie. Trzeci okres wągrów bardzo już trudny do wyleczenia, przejawia się w formie podskórnych jakby guziołków, bolących za dotknięciem, zaczerwienionych, z nurtującą podskórną materją.

Wągry nawiedzają twarze męzkie i kobiece zarówno i to w każdym wieku, najbardziej trapią ludzi młodziutkich między 12 a 18 rokiem życia. Chcąc wyświadczyć przysługę Czytelniczkom i Czytelnikom moim, pragnę udzielić im rad i wskazówek, za pomocą których walka z tą istotną plagą stanie się dla nich możebną i osiągnie pożądany skutek, to jest oswobodzenie się od tej tak przykrej i szpecącej dolegliwości. Przedewszystkiem, należy poznać środki i sposoby ochraniające od wągrów, niedopuszczające do pojawienia się ich na twarzy. Osoby, posiadające skórę skłonną do przetłuszczania, powinny stale posługiwać się do mycia twarzy mydłami neutralnemi lub otrąbkami abaridowemi suszącemi lekko skórę—woda musi być koniecznie przegotowana — o temperaturze pokojowej, to jest letniej; po obtarciu twarzy należy ją lekko zwilżyć spirytusem salicylowym kosmetycznym. Operację tę najlepiej uskuteczniać na noc a rano twarzy nie myć, tylko ją znowu leciuchno zwilżyć tymże spirytusem. Niema tak tłustej i skłonnej do wągrów skóry, którab przy takiem postępowaniu nie doszła do normy.

W następnej mej *„Hygienie piękności“* podam najlepsze sposoby leczenia wągrów we wszystkich trzech okresach.

*Marcèle.*



**Konkurs piękności dzieci.** Rozpromieniona mamusia trzyma swą nagrodzoną pociechę.

## Rewolucja w Stanach południowych.

W południowo-amerykańskich rzeczpospolitych wciąż jeszcze wre. Ekwador, Paragwaj wszystkie te państewka są dziś jakby podminowane. Dochodzi tam nieraz do barbarzyńskich wybryków. Niedawno zlynczowano 5-ciu przywódców rewolucyjnych, uwięzionych przez wojska rządowe. Tłum ciemny, mszcząc się za straty w ludziach podczas bitwy z rewolucjonistami, dowiedziawszy się o pojmaniu przywódców wtargnął do więzienia i ukarał ich doraźnym sądem.



**Epilog oblężenia bandyty w Łodzi.** Zabitego bandytę przeniosą do prosektorjum.



**A. Niessen.**
Jeden ze zlynczowanych przywódców rewolucji w Stanach połudn. Ameryki.

## Szopka warszawska.

Pod nazwą tą powstał w Warszawie teatr Kukiełek, pomysłu Feliksa Kwiecińskiego ze współudziałem pp. Borzyma, Czepity, Baranowskiego. Przed oczyma widzów w ładnym budyneczku ad hoc zbudowanym, przesuwają się charakterystyczniejsze postacie z życia Warszawy, które bądź monologują, bądź śpiewają głosem naturalnym—naśladowanym przez aranżerów przy akompanjamencie stosownej muzyki. Rzecz ładna, wesoła i aktualna.



Lasocki. Kamiński. Gorczyński. Frenkiel.
(Szopka warszawska).

**Sz. Czytelników jeszcze raz najuprzejmiej prosimy o rozdanie znajomym przekazów dołączanych do poprzednich numerów „Złotego Rogu“.**

WARUNKI PRENUMERATY:

| | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie | | rb. 4.— | półr. | rb. 2.— | kwart. | rb. 1.— |
| W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. | „ | „ 4.60 | „ | „ 2.30 | „ | „ 1.15 |
| Za granicą i za oceanem | „ „ „ | „ 5.— | „ | „ 2.50 | „ | „ 1.25 |
| W Austrji i Galicji | „ „ | „ 12 kor. 50 h. | „ | 6 kor. 50 h. | „ | 3 kor. 30 h. |
| Numer pojedyńczy kop. 10 — halerzy 25. | | | | Zmiana adresu — 20 kop. | | |

Prenumeratorowie przybywający od II-go kwartału otrzymują początki drukujących się powieści; opłacającym prenumeratę za I-szy kwartał, wysyła się komplety pisma. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU“ w Warszawie **Mazowiecka № 5**, wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 kop. Reklamy—40 kop. Ogłoszenia na ostatnich kolumnach i na 3 str. okładki 20 kop. Na 4 str. okładki—30 kop.

**Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.**

**Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.**

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17

## KONIAK KRAJOWY.

W zrozumieniu dobra publiczności, a przytem i pomyślnie nadarzającej się sposobności rozwinięcia przemysłu swojskiego, przedsiębiorcy tutejsi, przed kilkunastu laty, otworzyli w Warszawie fabrykę koniaku „Imperial", cieszącego się obecnie bardzo szerokim zbytem nawet na najdalszych krańcach Cesarstwa.

Koniak „Imperial", pod kierunkiem specjalisty, sprowadzonego z Charenton we Francji, jest destylowany z naturalnych i czystych win besarabskich i krymskich.

O bezwzględnej naturalności i czystości koniaku „Imperial" świadczą wyniki analiz, dokonywanych rozmaitymi czasy przez takie powagi naukowe, jak dr. L. Nencki, zasłużony krajowi mag. nauk przyrodniczych, Napoleon Milicer, lub ces.-król. chemiczno-fizjologiczna stacja analityczna w Klosterneuburgu pod Wiedniem.

Wszyscy analitycy pomienieni zgodzili się na jedno, iż *części składowe koniaku „Imperial" w zupełności dorównywają najlepszym koniakom francuskim.*

Orzeczenie to ma niesłychaną wagę nietylko dla osób zdrowych.

Bo zważmy, iż znany badacz-hygienista, prof. Binz, w odczycie, wygłoszonym w berlińskiem Towarzystwie Hufelanda, zbijając pierwotne uprzedzenia świata lekarskiego, wyraźnie i stanowczo zaleca pokrzepienie sił osób chorych używkami alkoholicznemi.

Odczyt ten został obszernie streszczony w № 6 „Medycyny" z dnia 7 lutego r. 1903. Nadmienić zaś należy, iż do rzędu najodpowiedniejszych używek alkoholu należy koniak, lecz koniak nieskażony żadnymi zafałszowaniami.

Wszystkie te zalety posiada właśnie koniak „Imperial" fabrykacji warszawskiej.

Pod względem wyborowego a wykwintnego smaku i zapachu konkuruje on nader skutecznie z fabrykatami francuskimi, co nie przeszkadza, iż jest o wiele tańszy od zagranicznego.

Fabryka, po rozszerzeniu, mieszcząca się obecnie w Alejach Jerozolimskich № 129, stanowi dzisiaj firmę poważną. Zdobyła ona uznanie nie tylko stałych odbiorców. Na wystawie w Muzeum Przemysłu i Handlu w Warszawie w roku 1891 przyznano koniakom „Imperial" medal srebrny; w tymże roku na wystawie w Brukseli nagrodzono ją medalem złotym, zaś na wystawie wszechrosyjskiej w Niżnym Nowgorodzie w roku 1896 medalem srebrnym.

Ogół światłych przyjaciół i protektorów przemysłu krajowego, w ten sposób pojętego, musi i powinien wykluczyć ze swego stołu podejrzanej wartości koniaki zagraniczne, jeżeli posiada czyste, zdrowe i tanie własne koniaki „Imperial", odznaczające się nadto własnościami leczniczemi.



Oddział koniaków.



Wyrób wódek.